

## Konkurs

### **NIEPODLEGŁA**

#### na tłumaczenie prozy polskiej w Holandii

[Wybrany fragment opowiada historię ostatniego etapu podróży repatriantów polskich do ukochanego kraju, który po ponad wiekowej niewoli odzyskał niepodległość i przez lata był jedynym sensem ich życia. Wracają po trudach tułaczki, znosząc mordercze warunki, ale z nadzieją na życie na swojej ziemi. Główny bohater, Cezary Baryka, z ręką sponiewieranych ludzi przybywa do ojczyzny nieżyjących już rodziców. Jego ojciec, powołany do carskiego wojska i wysłany na front I wojny światowej umiera w czasie tej podróży. Jak tylko potrafił, napętniał syna wizjami wynalazków, reform i pokojowej przebudowy świata. Symbolem tego wszystkiego były szklane domy, w których mieli mieszkać w Polsce zwyczajni ludzie. Domy budowane ze szklanych tafli, w których latem miała przepływać zimna woda, chłodząc mieszkanie, a zimą gorąca, by je ogrzewać. Cezary uwierzył w ten piękny mit i fantastyczną wizję przyszłości wiążaną z ojczyzną rodziców.

W pierwszym polsko-żydowskim miasteczku na kresach polskich dokonuje się konfrontacja rzeczywistości z przepętnionym umiłowaniem i tęsknotą wizjami Polski, które przekazał mu ojciec. Tekst: E.Niemczuk-Weiss]

Stefan Żeromski

**Przedwiośnie** (fragment)

Długo włókł się pociąg naładowany ludźmi do cna, choć z niego raz w raz ktoś przyzostawał na przydrożnych cmentarzach miasteczek. Im bliżej było do kresów polskich, tym rewizje były cięższe i srozsze. Nareszcie rozeszła się wśród podróżnych wieść radosna: granica! Zanim jednak ludzie wymizerowani i storturowani w wagonach od tyłu tygodni ujrzeli upragnione budynki kresowe, niemało ich jeszcze nadręczono. Pociąg stał w polu. Drzwi od wagonów były zamknięte. Czekano w tym ruchomym więzieniu na zmiłowanie się nieubłaganych władców.

Cezary obserwował ciekawe zjawisko, iż ci wszyscy ludzie, jego sąsiedzi z najbliższych ławek, bynajmniej nie fabrykanci, nie bankierzy ani magnaci, lecz najzwyczajniejsi i dobroduszni zjadacze chleba tudzież kaszy jaglanej, na którą zarobili własnymi rękami — drobni dorobkiewiczze i mizerni karierowicze, urzędnicy i pracownicy prywatni — byli jakby wyjęci spod wszelkiego prawa właśnie tam, w kraju, gdzie tyle się nasłuchał o prawach człowieka uciśnionego i wyjątego spod prawa. Do dzikiej furii doprowadzała go tyrania najzwyczajniejszych pospolitaków i żołdaków, którzy nie wiadomo za co i w jakim celu gnębili uchodźców do Polski z satysfakcją, z nienasyconą przyjemnością, z jawnym wylewem zwyczajnej nacjonalistycznej zemsty. Można było zrozumieć gniew na burżujów, rodaków

uciekających z Rosji przez Baku w świat szeroki, lecz ta gruba i okrutna przemoc okazywana gościom, przychodniom, wędrowcom, którzy właśnie wynosili się do siebie – dziwiła i napełniała gniewem. Patrzył na twarze oficerów komenderujących, na rewidentów i soldafonów trzymających straż przy drzwiach i pierwszy raz w życiu zobaczył nie tylko oczyma, lecz duszą czującą — tyranie, o której mu ojciec mówił tyle razy.

Ale po tych wszystkich udręczeniach i po najobrzydliwszych trwogach, zwłaszcza kobiecych — iż nie wypuszczą, iż każą cofnąć się, iż zamkną wagony, zawrócą pociąg z ludźmi i odwiozą wszystkich z powrotem do Charkowa — po licznych plotkach i istnych klechdach, które strach płodził, a do niebywałych rozmiarów wydymała głupota — oto roztworzono drzwi wagonów. Ludzie zgarnęli, co tam jeszcze taszczyli ze sobą, ponieśli na ręku dzieci, powlekli starych i chorych. Pędzili z wrzaskiem i szlochaniem, popychając się, wyprzedzając jedni drugich — jakimś rozmokłym gościńcem ku domom widniejącym tuż obok. Biegając coraz szybciej, jakby ich kto gonił, modląc się, płacząc i śmiejąc się razem, doskoczyli do sztachet, za którymi stało kilku żołnierzy w szarych, podniszczonych rogatych czapkach. Kobiety stare i słabe chwyciły się dygocącymi palcami za balasy owych sztachet, mężczyźni zmordowani drogą całowali słupy w tym płocie. Wszyscy popychali się i bili, torując sobie i swoim przejście w tłumie, kotłującym się jak zbiorowisko topielców dosięgających wybrzeża. Brama była otwarta i tam za koleją przepuszczano.

Przyszła wreszcie kolej i na Cezarego. Nie miał ci żadnych papierów, gdyż wszelkie dokumenty zostały w skradzionej walizce. Szedł na oślep. On może jeden w tym tłumie nikogo nie witał, a wszystko żegnał i zostawiał za sobą. W ostatniej chwili, gdy już miał bramę przekroczyć, inżynier Białynia wetknął mu w rękę jakiś papier, czyjaś legitymację. Oficer polski przyjął papier od Baryki, obejrzał i tuż na stoliku przybił pieczęć. Przychodzień minął bramę. Wszedł do Polski, kraju swoich rodziców.

Tłum ludzki mijał budynki stacyjne i kierował się w stronę miasteczka, którego murowane i drewniane domki widać było niezbyt daleko. Cezary szedł również do tego miasta. Po udręce, zgnieceniu i braku powietrza w przedziałach pociągu, oddychał teraz powietrzem szerokim, olbrzymim. Wyciągnął ręce do tego szerokiego powietrza, do ziemi nieznaney, jakby wolność swoją obejmował w posiadanie. Mijał ohydne budynki, stawiane, jak to mówią, psim śwędem, z najtańszego materiału, kryte papą, którą wiatr poobdzierał, a zimowe pluty podziurawiły doszczętnie. Chcąc całe to "*oppidum*" objąć jednym spojrzeniem, wyszedł za ostatnie domostwo.

Przeływała tam rzeczka, w stromych brzegach wijąca się wśród niziny. Śniegi już stały i pierwsza trawka, szczyk rzadki, bladozielony, rozpościerać się poczyniła nad bystrą wodą. Po tej ledwie widocznej runi tańczyli na bosaka chłopcy-nędzarze przygrywając sobie na ustnej harmonijce. Bose ich stopy migwały nad błotem, które już zdołały ubić na dogodnie do tańca klepisko. Przedwiośnie zdmuchnęło już z dachów bud najbliższych lód i śnieg — ogrzało już naturalnym powiewem południa wnętrza, które długa i ciężka zima, wróg biedaków, przejmowała śmiertcionośnym tchnieniem. Pourywane rynny, dziurawe dachy, spleśniałe ściany kryła już ta nieśmiertelna artystka, wiosenka nadchodząca, pozłotą i posrebrzeniem, zielenią i spłowiałością, barwami swymi, które rozpościera nad światem. Usiłowała osłonić nikłymi swymi kolory to wstrętne widowisko, które na jej tle pełnym wieczyście nieśmiertelnego piękna ludzie rozpostarli: miasteczko polsko-żydowskie. Cezary patrzył posępnymi oczyma na grząskie uliczki, pełne niezgruntowanego bajora, na domy

rozmaitej wysokości, formy, maści i stopnia zapaprania zewnętrznego, na chlewy i kałuże, na zabudowania i spalone rumowiska. Wrócił na rynek, obstawiony żydowskimi kramami o drzwiach i oknach zabryzanych błotem przed miesiącami, a i przedtem nie myte od kwartałów.

— Gdzież są twoje szklane domy? — rozmyślał brnąc dalej. — Gdzież są twoje szklane domy?...

[*Czytelnik*, Warszawa 1996, s.107-109]